

RP2011

OP20

M
O
W
I
W
A
R
S
Z
A
W
A

AUTOR PROJEKTU

Marek Kochan

WYDAWNICTWA

Muzeum Powstania

Warszawskiego

Instytut Stefana Starzyńskiego

Wydawnictwo Trio

2011 WARSZAWA

R2011

OP20

M
O
W
I
W
A
R
S
Z
A
W
A

R1 MIŁOŚCI

Marek Nowakowski

Monika Powalisz

Olga Berezyna

R2 POŻEGNANIA I POWROTY

Krzysztof Varga

Wojciech Albiński

Monika Rakusa

Jerzy Sosnowski

Bohdan Sławiński

Piotr Wojciechowski

Juliusz Strachota

Milena Laur-Zmarzłowska

Piotr Paziński

Sylvia Chutnik

Jacek Dehnel

R3 REWOLUCJE

Tomasz Piątek

Izabela Filipiak

Sylvia Siedlecka

Marek Kochan

Kaja Malanowska

Aleksander Kościół

Autor projektu i redaktor tomu – Marek Kochan
Koordynator projektu – Martyna Niziurska-Olszaniec
Projekt graficzny i ilustracje – Marta Surowiec, Wojciech Polak
Redaktorzy prowadzący – Dorota Bojarska-Lis, Renata Pytka-Sofuł
Redakcja – Magdalena Budzińska, Iwona Dornarowicz

Muzeum Powstania Warszawskiego – Jan Ołdakowski
Instytut Stefana Starzyńskiego – Dariusz Gawin

Zdjęcie panoramy Warszawy – Robert Danieluk
Autor i wydawcy dziękują SM „Skarpa” za umożliwienie wykonania fotografii

editions © Muzeum Powstania Warszawskiego
editions © Wydawnictwo Trio



WYDAWCY:

Muzeum Powstania Warszawskiego
Instytut Stefana Starzyńskiego/Oddział MPW
00-844 Warszawa, ul. Grzybowska 79,
www.1944.pl, e-mail: biuro@1944.pl

Wydawnictwo Trio
Wydawnictwo TRIO, 00-958 Warszawa, ul. Miedziana 11
www.wydawnictwotrio.pl, e-mail: trio@wydawnictwotrio.pl
Wydanie pierwsze, Warszawa 2011

MÓ WI WAR SZA WA

R1 MIŁOŚCI

Marek Nowakowski/ <i>Każdemu wolno kochać!</i>	020
Monika Powalisz/ <i>Przekątna</i>	032
Olga Berezyna/ <i>Michaj, Gabor</i>	044

R2 POŻEGNANIA I POWROTY

Krzysztof Varga/ <i>Zły powraca</i>	064
Wojciech Albiński/ <i>Kapo</i>	076
Monika Rakusa/ <i>Tamta Wilcza</i>	086
Jerzy Sosnowski/ <i>Pamiętka</i>	100
Bohdan Sławiński/ <i>Zdradzeni o świcie</i>	116
Piotr Wojciechowski/ <i>Pamiętacie Wibera?</i>	128
Juliusz Strachota/ <i>Prościej byłoby już trudniej</i>	140
Milena Laur-Zmarzłowska/ <i>Dziś sprzedawały ryby</i>	152
Piotr Paziński/ <i>Staruszek</i>	162
Sylwia Chutnik/ <i>Bożena z Poznańskiej</i>	174
Jacek Dehnel/ <i>Bieg okoliczności</i>	186

R3 REWOLUCJE

Tomasz Piątek/ <i>Powstanie II</i>	226
Izabela Filipiak/ <i>Majowy śnieg</i>	234
Sylwia Siedlecka/ <i>Historia blokowa</i>	244
Marek Kochan/ <i>Basen</i>	254
Kaja Malanowska/ <i>Pokój</i>	268
Aleksander Kościów/ <i>Progress potential</i>	278



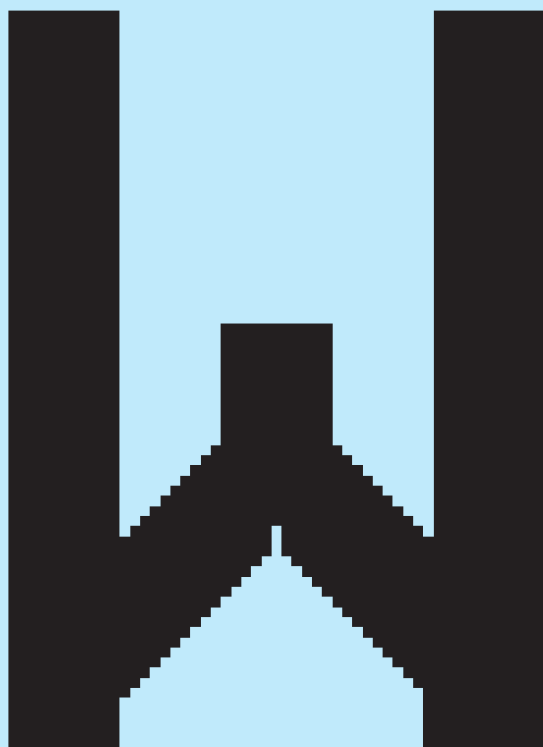


„We wzrost przywiązania do Stolicy wszystkich Polaków a przede wszystkim mieszkańców Warszawy wierzę gorąco i dlatego wierzę, że rozwój Warszawy szybkim tempem posuwać się będzie naprzód, że wszyscy własnymi oczyma oglądać ją będziemy piękną i wspaniałą tak, jak ją widzieć pragniemy, że czuć się w niej będziemy jak najlepiej, jak najwygodniej i jak najprzyjemniej, jak we własnym rodzinnym domu, w którym wyrosliśmy, że będzie ona godną Stolicą naszej ukochanej a potężnej Ojczyzny.

Was, koledzy rezerwiści proszę, abyście w tych wysiłkach aktywny brali udział, a zaznacie szczęścia współtworzenia wielkiej naszej Stolicy”

STEFAN STARZYŃSKI

z odczytu wygłoszonego 10 czerwca 1938 na zebraniu Stołecznego Okręgu Związku Rezerwistów



Wstęp

Warszawa budzi się ze snu. Wstaje, podchodzi do lustra i przygląda się sobie. Opowie teraz, co widzi. Sama, własnymi słowami.

Ta książka to powieść o współczesnej Warszawie, ale powieść polifoniczna, mająca wielu autorów. Składa się na nią 20 tekstów, zupełnie nowych, napisanych specjalnie do tego tomu. Ich autorki i autorzy reprezentują różne pokolenia. Różnią ich style, wrażliwości, punkty widzenia. Co innego ich ciekawi, co innego uważają za ważne. Dlatego obraz Warszawy, który wyłania się z tej książki, jest wielobarwny i wielowymiarowy.

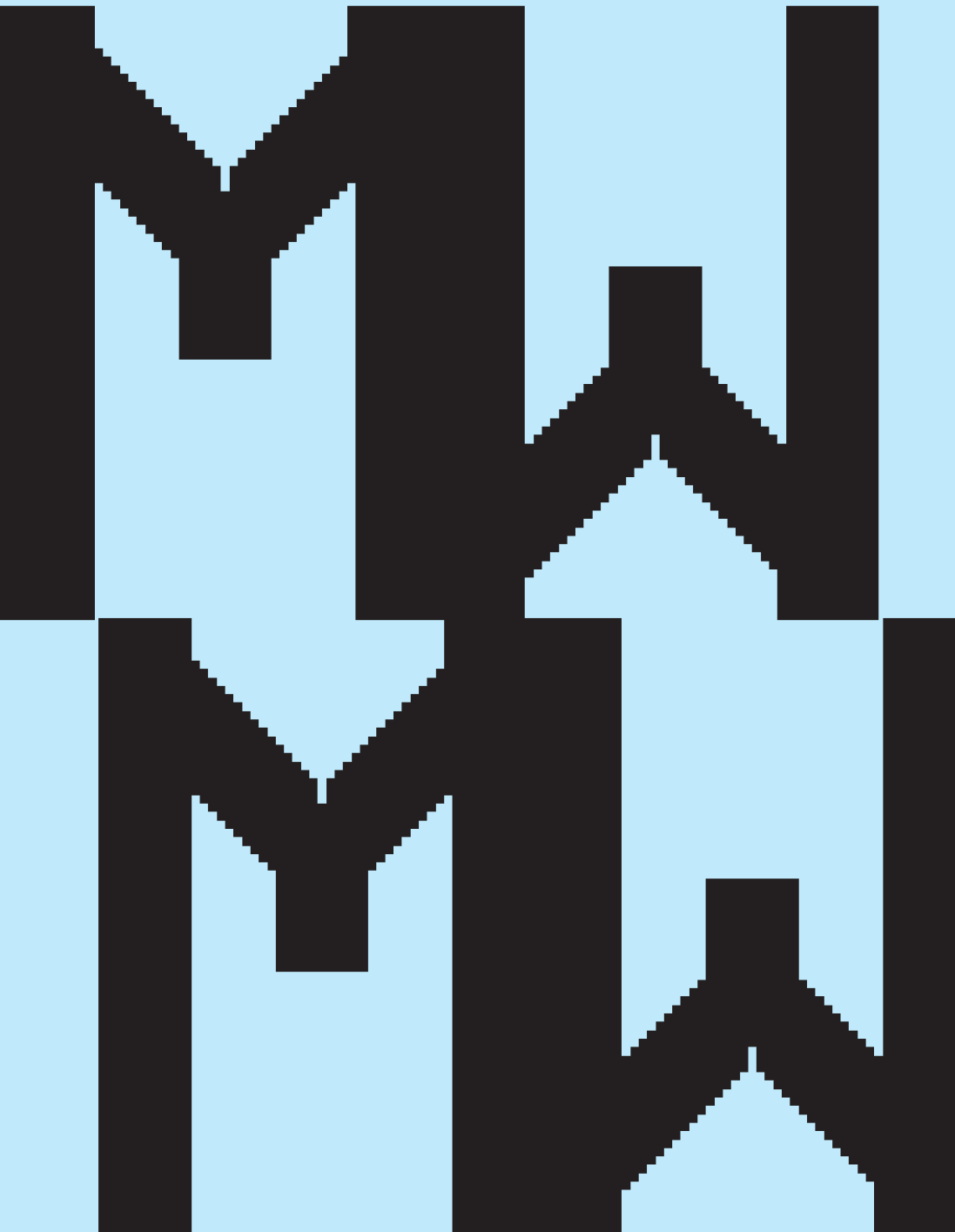
Jest to pierwsza wielogłosowa powieść o Warszawie. Najpierw był pomysł, ogólna idea. Ciekawość. Jaka to byłaby książka? Szukałem sposobu, aby ten pomysł zrealizować. W poszukiwaniu mecenasa udałem się na ulicę Przyokopową. Tam powstają niecodzienne, nowatorskie projekty artystyczne związane z miastem. Przedstawiłem projekt książki. Muzeum Powstania Warszawskiego i Instytut Stefana Starzyńskiego objęły patronat nad tym przedsięwzięciem. Jako didżej miałem pełną swobodę twórczą. Nie mogłem jednak zaprosić wszystkich autorów piszących o Warszawie – jest ich zbyt wielu. Musiałem

wybierać. Szukałem głosów osobnych, niepowtarzalnych, aby jak najpełniej oddać bogactwo i różnorodność miasta. Zaprosiłem pisarki i pisarzy, których teksty najbardziej chciałem przeczytać. Które złożyłyby się na zaskakującą całość. Pierwszy był Marek Nowakowski. Zgodził się od razu. Uznałem, że to dobra wróżba. Kolejne osoby przyłączały się do projektu. Każdy miał wolny wybór, jeśli chodzi o temat i styl, każdy niezależnie pracował nad swoją historią. Stąd wielość bohaterów, miejsc, planów czasowych. Jedno było wspólne: Warszawa, taka, jaką ją widzą pisarki i pisarze związani z miastem.

Teraz książka jest gotowa, skomponowana. 20 opowieści ułożyło się w całość, w której wyraźnie zarysowują się trzy tematy, trzy wątki: Miłości, Pożegnania i powroty oraz Rewolucje. Oczywiście, podział jest umowny: w miłościach są pożegnania i powroty, w rewolucjach – miłości. Jeśli mierzyć to statystycznie, wciąż rewolucji jest więcej, niż miłości. Najwięcej jest pożegnań i powrotów. Warszawa żyje swoją przeszłością, pamięta o niej. Czasem chciałyby z nią zerwać, czasem czerpie z niej siłę. Może powinna częściej patrzeć przed siebie? Przyszłość zależy jednak od poukładania tego, co było, od naprawienia splątanych więzi między ludźmi. O tym mówi ostatni tekst w tomie. Postęp jest możliwy.

Panie i panowie, proszę o ciszę.
Mówi Warszawa!

Marek Kochan





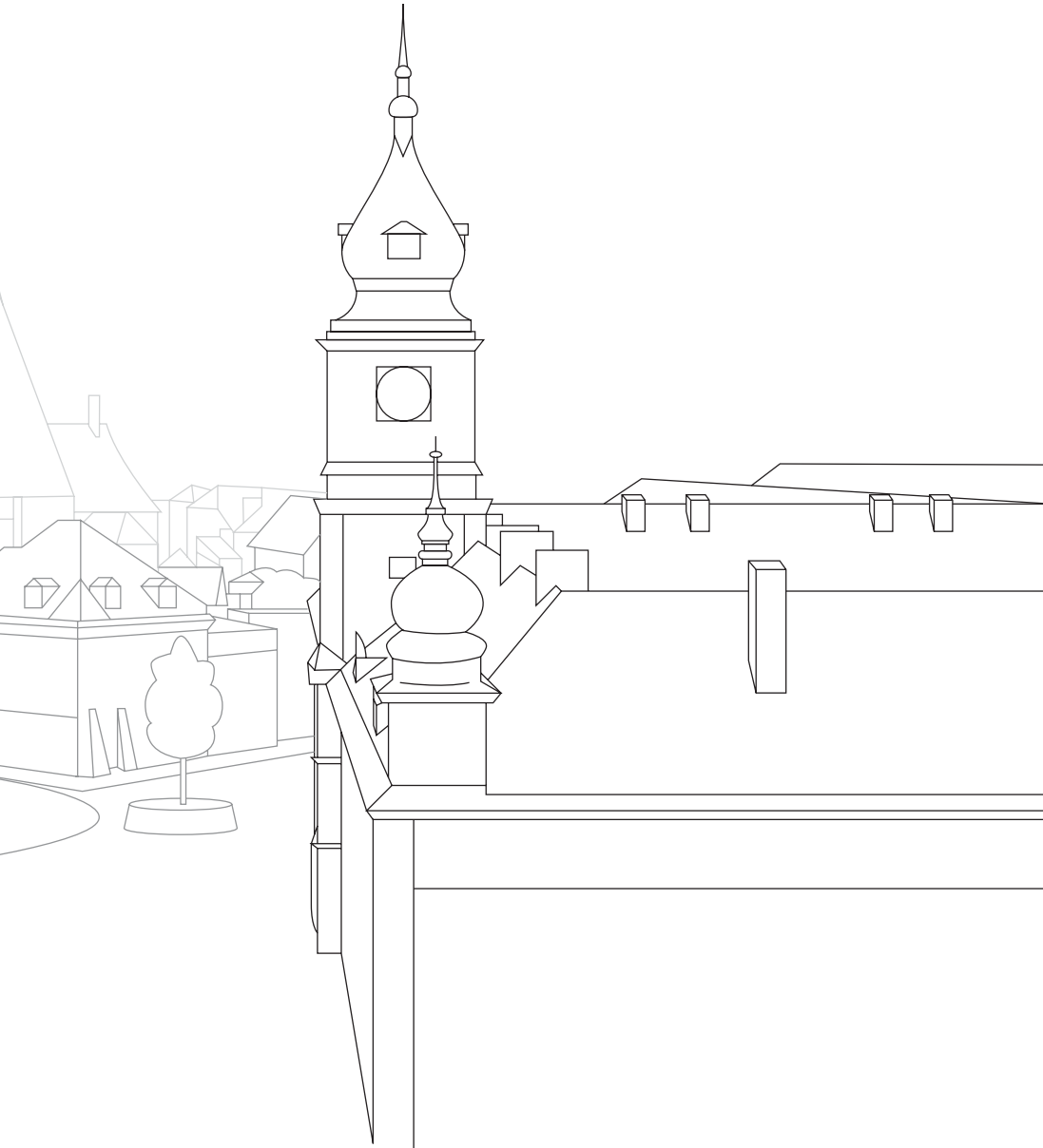
Podziękowania

Dziękuję wszystkim autorkom i autorom, którzy wzięli udział w tym eksperymentalnym pisarskim plenerze. Cieszę się, że – choć każdy pracował osobno – razem stworzyliśmy książkę o naszym mieście.

Do powstania tego tomu przyczyniło się też wiele osób, których nazwisk nie ma na liście autorów. Martyna Niziurska-Olszaniec i inne osoby z zespołu Muzeum z wielkim zaangażowaniem pracowały nad tym projektem przez ponad pół roku. Pani dyrektor Bogusława Radziwon z Wydawnictwem Trio zapewniła jedność czasu, miejsca i akcji. Wszystkim dziękuję.

Szczególnie wyrazy wdzięczności należą się Janowi Ołdakowskiemu, dyrektorowi Muzeum Powstania Warszawskiego i Dariuszowi Gawinowi, szefowi Instytutu Stefana Starzyńskiego. Bez nich tej powieści by nie było – zaufali mi, kiedy przyszedłem z pomysłem, którego opis mieścił się na jednej kartce papieru i zgodzili się mu patronować. Oni też są współautorami tej książki.





**MIŁOŚCI**

1. Marek Nowakowski / 'Każdemu wolno kochać', s020
2. Monika Powaliś / 'Przekątna', s032
3. Dłga Berezyna / 'Michał, Gabór', s044

MIL
COSS
CI





KAZDEMU WOLNO KOCHAĆ!

autor MAREK NOWAKOWSKI

Dymiły jeszcze zgliszcza, a już budowali drewniany prowizoryczny dworzec w miejscu dawnego Warszawsko-Wiedeńskiego, który został doszczętnie zniszczony. Na rogu, gdzie dawniej zbiegały się dwie pryncypalne ulice, wśród ruin rozkwitło handlowe życie. Handel w pierwszym rzędzie odradza się po pożodze. Wszystko można kupić i sprzedać. A jak handel to i wypitka, kobiety, wiadomo. Wracił do miasta żywotny ludek, najtwardszy.

Szli jeszcze w łunach pożarów. Zajmowali schrony, piwnice, żłobili jamy, klecili budy. Gnieździłi się na poddaszach wypalonych kamienic, wspinając się karkołomnie po drabinach, po resztkach schodów, po rynnach i gzymsach. Pod nogami ziała im czeluść. Linoskoczki niezniszczalnego życia! Chwyтали się byle czego pazurami i już nie popuścili. Żeby zamieszkać na wysokości, patrzeć w niebo i śledzić lot ptaków, trzeba było być nie lada akrobatą.

Ci na dole zaś w piwnicznych norach walczyli ze szczurami. Namnożyło się tego wrażego paskudztwa. Czas jakiś miasto było ziemią niczyją i one wtedy panowały. Wypasione, bo żywiły się trupami. Nieboszczyków w gruzach zalegało mnóstwo. Sterczały z rumowisk i popiołów zwęglone kikuty rąk, nóg. Zniemacka pokazywały się straszne, gnijące oblicza z wyszczerzonymi zębami, dziurami oczodołów i rdzawymi od krwi kosmykami włosów. Mógł obsunąć się legar czy



Centrum
N 52°13'50,0"
E 21°00'25,2"





strop, zawałała się i kruszyła podziurawiona pociskami ściana, odślaniała się zbiorowa mogiła i szczury uciekały z piskiem od uczyty, ciągnąc za sobą gołe obślizgłe ogony.

Ale i człowiek bywa twardy jak szczur. Ci, co przeżyli, oswojeni byli ze śmiercią i strasznymi widokami, nie przejmowali się więc zbytnio truposzami i zatykając nosy przed gnilnym fetorem, mościli się w swoich legowiskach, zadowoleni, że mają jaki taki dach nad głową. Zaspiali mocnym snem, bez żadnych koszmarów.

Piwniczno-strychowy ludek wynurzał się o świcie ze swych koczowisk, dygotał, rozcierał zgrabiące dłonie i z trudem otwierał sklezione powieki. Chwiejąc się na niepewnych nogach, rzucali pierwsze spojrzenie na boży świat i klnąc z nawyku na swój sobaczy los, ruszali do bud, straganów i sklepików pod chmurką, żeby rozgrzać się mętnym, śmierdzącym drożdżami, krępkim samogonem. Samogon ożywiał zmartwiałe wąpzia i krew krążyła szybciej. Jaśniało we łbie. Budziła się nadzieja. Tak rozpoczęła się dzień.

Kobieta, młoda czy niemłoda, trudno rozpoznać w szarej pomroce, wystawiła na placu stolik. Piękny, secesyjny mebelek na wdzięcznie wygiętych nóżkach, którego blat ze szlachetnego palisandru nadpalony był po brzegach i pożłobiony nożem. Jakiś wandal wyrezał nawet serce przebite strzałą. Mebelek mógł stać kiedyś w zamożnym, mieszczańskim salonie i ucztowali przy nim zdobywcy miasta.

Teraz palisandrowy blat spełniał skutecznie funkcję sklepowej lady, zapełniony słojami, garnkami i misami. Kobieta sprzedawała kwaszone ogórki, śledzie, słoninę – poźółtką, mocno osypaną solą, na grubej skórce – którą kroiło się jak masło, konserwę w puszkach i raz w tygodniu rzeźnicy ze słynnego miasteczka świniobójców dostawiali jej kiełbasy, kaszanke, salceson. Wtedy otaczał ją tłum i nie nadążała z polewaniem bimbru z blaszanego baniaka do szklanek. Kupczycha to była przednia, wróciła jako jedna z pierwszych do wypalonego miasta i od razu zabrała się za to, co umiała najlepiej.

– Uliki, matiasy! – wołała donośnie. – Przedwojenne, palce lizać!

Śledzie patykami wybierała z beczutki, owijała w gazetę i podawała klientom. Równie sprawnie przeliczała pieniądze, wydawała resztę i utarg chowała do skózanego woreczka pod fartuchem.

On, karzełek malutki jak pięcioletnie dziecko, stary chłop o pomarszczonej twarzy, przypominającej pieczone jabłko; stracił swój warsztat pracy. Był cyrkowym liliiputem i nie nadawał się do niczego innego jak tylko do śmiesznych wygibasów i czynienia z siebie pośmiewiska dla uciechy gawiedzi, zebranej wokół wysypanej trocinami areny pod brezentowym szapitem. Najmniejszy Człowiek Świata. Tak bywał zapowiadany w wędrownej trupie podczas występów w miastach i miasteczkach. Jechał na początku orszaku na karym koniu, strojąc ucieszne miny i fikając koziołki na końskim grzbiecie, okrytym złotą, frędzlistą materią. W wojennej zawierusze stracił swoją karlicę i był zupełnie samotny.

Kręcił się bezradnie w hałaśliwym tłumie, który wypełniał przestrzeń między wysokimi gruzami, zwaną placem, podobną do kotliny pośród czarnych, księżycowych skał.

Czasem ze smutku zaczynał chodzić na rękach, ale zupełny brak zainteresowania dla tych popisów zniechęcał go szybko do ponawiania daremnych wysiłków w celu zwrócenia na siebie uwagi. Podtrzymywał gasnącego ducha wspomnieniami dawnych, dobrych czasów. Szczególnie swego najlepszego numeru, po którym niezawodnie wybuchał huragan oklasków i śmiechów. Ale to były stare dzieje. Teraz ludzie go nie zauważali. Zaczynali wszystko od początku i ważniejsze sprawy zaprzętały im głowy. Liliput był głodny i bardzo zmęczony. Pomarszczona twarz zżółkła i wychudzenie czyniło go jeszcze bardziej malutkim, rzadkie włosy nastroszyły mu się jak puch kaczącia; kurczył się i marniał w oczach z dnia na dzień. Snuł się i zataczał z osłabienia między nogami ludzi, przemierzających nieustannie plac. Niby taki jak oni, a maleńki dziwoląg, wybryk złośliwej natury.

Przerażały go psy, które czasem pojawiały się na placu i szczyrzyły na niego zęby, warcząc złowrogo. Nie traktowały go na równi z rodzajem ludzkim i uznawały za słabsze od siebie stworzenie. Pewien litościwy handlarz rzucił mu kiedyś kawałek kiełbasy, ale wyprzedził go parszywy wyliniaty kundel, odbierając smaczny kęs. Zdżiczałe dzieci otoczyły go kręgiem, szturchając i szczypiąc. Dzieci też były silniejsze od niego. Pijacy chwytali go jak szczeniaka i przerzucali sobie z rąk do rąk, wybuchając ohydny śmiechem. Upokorzenie i ból dręczyły go coraz mocniej i tak krążąc, zagubiony w ludzkim rojowisku, spostrzegł raz i drugi dłonie wielkie jak na jego miarę, które sięgały do kieszeni spodni, wyciągając zwitki pomiętych banknotów. Chciwy ruch dłoni zaciskających się na papierkach zwrócił jego uwagę, grube paluchy tak sprawnie wyciągały banknoty odpowiedniej wartości. Nie były to jedynie „młynarki”, ale też papiery zielone, dolarowe. Początkowo tylko bawiła go niesamowita ruchliwość ludzkich palców. Widział pory na skórze, włoski porastające knykcie, paznokcie czarne i poobgryzane. Nawet mógł zaglądać w kieszenie, z których wyciągali forszę. Jedni pozbywali się pieniędzy, inni zwiększali ich ilość. Widział na banknotach plamy tłuszczu i krew. Niektóre były zużyte, porwane. Inne, nowe, połyskliwe, szeleściły.

Wszystko działało się na wysokości jego głowy i rozproszone myśli skoncentrowały się wreszcie, podyktowały mu czyn. Jego malutka łapka powędrowała do cudzej kieszeni. Leciutko niby piórko się tam wsunęła. Palce dotknęły gładkiego papieru, namacały grubość pliku i oddzieliły kilka banknotów ze zwitka. Poczucie sprawiedliwości ograniczyło jego chciwość. Dokonywał swoistego podziału. Zabierał tylko cząstkę. Serce zabiło mu gwałtowniej. Banknoty zacisnął w spotniałej ze strachu dłoni. Malutka piąstka wysunęła się ostrożnie z czeluści kieszeni. Czmychnął między kobiecymi i męskimi nogami, które niby ruchomy las zapełniały plac. Biegł, odbijając się o łydki, zadki. Dyszał ciężko, a dłoń kurczowo

zaciskała łup. Pomknął w gruzowisko i tam w jamie, która pozostała po zasypanej piwnicy, rozprostował palce. Długo napawał się widokiem tak łatwo zdobytych pieniędzy. Odpocząwszy, wyszedł jeszcze raz i w budzie spełniającej rolę jadłodajni najadł się pierwszy raz do syta. Czuł pęczniejący brzuch i błogie ciepło wypełniające całe ciało. Zadarł głowę i popatrzył na twarze ludzi. Dał sobie z nimi radę. Tak łatwo! Poczul swą siłę.

Beznogi handlował tytoniem. Przed sobą trzymał przewieszoną na piersiach skrzyneczkę, papierosy sprzedawał na sztuki i w paczkach. Posiadał bogaty wybór: gilowe, z munsztukiem, luksusowe amerykańskie, wypełnione żółtym jak miód tytoniem, w paczkach z podobizną wielbłąda, jeszcze inne w blaszanych pudełkach. Chłop był to wysoki, rozrostły w plecach, twarz miał mięsistą, czerwoną, ze szczeciniastym, rudawym zarostem i stał w szerokim rozkroku jak wrośnięty w ziemię; jego lewa noga była od połowy uda sztuczna, drewniana. Handel prowadził wędrowny i zachodził w różne miejsca placu. Wyszukiwał największą ciżbę, pośród niej najlepiej szedł mu interes. Kobietę przy palisandrowym stoliku wyłowił od razu męskim, wprawnym okiem i spodobała mu się ona. Dorodna, duża, wesoła. Fachowo wabiła klientów. Uśmiechała się do akuratywnych chłopów. A choć on nie był zupełnie akuratywny, przecież brakowało mu nogi, od słowa do słowa przemawiać zaczęli do siebie. Kawał kiełbasy od niej zakupił, szklaneczkę bimbrową odpił, drugą poprawił, należytą mu resztę nie przyjął i poczęstował ją amerykańskimi, podsuwając ogień z benzynowej zapalniczki, sporządzonej z łuski karabinowego naboju. Zapaliła, wciągając z lubością wonny, szlachetny dym. Zaczęli pogadywać. Z początku żarcikami. Potem poważniej. O niedolach i poniewierkach. Wyliczali sobie, ile to razy śmierci spod kosy wymykali się w te złe lata. Kobięcie nawet łzy się zakręciły w oczach i chlipnęła przez nos.

- Ciężko żyć samemu - westchnął beznogi handlarz i popatrzył na nią okiem znawcy.

Ona była wojenną wdową i wraz z dymem, który puścił jej prosto w twarz ten obcy mężczyzna, poczuła gorący, bimbrowy oddech chłopca bardzo głodnego baby. Przypadli sobie do gustu od pierwszego wejrzenia i wiedziała już, że choć jest kulawy, to nieźle musi sobie dawać radę. Obrotny i chwacki. Zajęci sobą nie zauważyli, że z niedalekiej odległości przygląda się im liliput, maleńki człowieczek wzrostu najwyżej pięcioletniego chłopczyka, o twarzy żółtej i pomarszczonej, pozbawionej zupełnie zarostu, nie licząc tych kilku włosków, wyrastających z brodawki na podbródku. Kobieta wcale się nie żachnęła, kiedy kulawy chłop klepnął ją po zadku.

- Rzepa! - powiedział chrapliwie i mocniej ustawił w rozkroku dwie swoje nogi, prawdziwą i drewnianą.

Zaśmiała się zalotnie. Beznogi wyczuł przyzwolenie i jego łapa śmiało powędrowała od góry w dół po jej wypukłościach. Co ta łapa za igraszki wyczyniała, nie można było zobaczyć, zginęła bowiem na dłuższej pod bufiastą spodnicą. Kobieta

przymknęła oczy, papieros w jej palcach dopalał się długim wałeczkiem popiołu. Wreszcie ocknęła się ze słodkiego odrętwienia.

- Won! - powiedziała bez złości, odpychając kułakiem beznogiego zalotnika.

Liliput poczuł się dziwnie nieswojo. Gorąco i zimnica targały nim na przemian. Ta łapa beznogiego, szeroka i włochata, olbrzymieć mu zaczęła w oczach; wyobraził sobie, co ona tam mogła wyczyniać. Dał nura w handlujący tłum. W płątalinie ludzkich nóg był jak w znajomym lesie. Zrobiło mu się lżej na duszy i z zapamiętaniem myśliwego za cudzymi kieszeniami zaczął się rozglądać. Polowanie szło mu sprawnie i już bez strachu. Dłoń miał nieomylną, palce pracowały zwinnie i szybko. Siódmym jakimś zmysłem przeważnie nie wtykał ich na próżno. Z kieszeni w kraciastych pumpach wyłuskał kilka papierków. Złożone były czterokrotnie. Tak składają swoje banknoty gracze, którzy grają w numerki. W innej kieszeni w zielonych, wojskowych spodniach z szorstkiego sukna namacał metalowe, twarde krążki. Wyciągnął garścią. Były to złote monety. Sześć sztuk. Już brał zdobyczą w całości. Wiedziały przecież, że jeśli go dopadną, nie będą się wcale zastanawiać, ile im zabierał. Kilka kieszeni zaledwie było prawie pustych. Z samym lekkim bilonem. Jedna niedostępna, zapięta na dwie agrafki. Jeszcze przy obłączonym przez kobiety kramiku z damską bielizną zajął się niedopiętą torebką. Z niej wyłowił najwięcej papierków. Pachniały pudrem i perfumami. Kobietą. Obwąchał je bardzo dokładnie, myśląc o handlarce przy palisandrowym stoliku. Posmutniał.

Nie wiodło mu się źle w tym niecnym procederze, polubił ryzyko i bawił się. Potrafił wyjmować portmonetki, wygarniać ich zawartość i puste z powrotem wsuwać do kieszeni. Podwyższał sobie stopień trudności i na przykład szczypał upatrzoną ofiarę w tyłek; kiedy ona klnąc, chwyciła się za obolałe miejsce, wyciągał jej z kieszeni pieniądze i zmykał co sił w nogach.

Choć tak wyzywał los, to miał szczęście malutki nicpoń i gromadził bogactwo w zardzewiałej puszcze po masce przeciwgazowej, którą zagrzebywał w kącie swojej piwnicznej jamy i przywalał cegłami. Dużo odkładał. Potrzeb nie miał wygórowanych, alkoholu nie lubił, jadł niewiele, najchętniej słodczyce. Z dawnych czasów gustował w wedlowskich czekoladkach.

- Wróbelek! - wołały za nim rozbawione kobiety.

Z rzadkimi, sterczącymi niby puch włosami na dużej głowie, osadzonej na cienkiej szyi, wyrastającej z małego, wątlęgo ciała, mógł przypominać jakiegoś cudacznego ptaszka. Nosił kolorowy kubraczek i pasiaste, obcisłe pantaloney na krótkich nóżkach. Lubił tylko pstre, cyrkowe stroje. Pijani mężczyźni zastanawiali się nieraz, jakiej miary męskie wyposażenie może on nosić w spodniach. Czy potrafi dogodzić normalnej kobiecie, czy tylko karlicy. Przywoływali go i dopytywali z udawaną uwagą. Rozwścieczony uciekał od nich i chował się w piwnicznej jamie. Przeklinał wszystko i wszystkich. Bluźnił na Stwórcę, że takim go stworzył. Niełatwo wracał do równowagi. Najbardziej podnosiło go na duchu przekonanie, że niejednemu z tych bydlaków wygarnął sporo forsy z kieszeni.

Beznogi chłop codziennie przychodził do kobiety, która sprzedawała bimber i zakąski przy palisandrowym stoliku. Byli w bliskiej komitywie. Poklepywał ją i podszczypywał. Ona oganiała się od niego, ale tylko dla pozorów.

- Idź, ty capie! - pokrzykiwała.

- Kobyłka - odkrzykiwał handlarz tytoniem, wyprężał się i wciągał brzuch; spod nogawki wystawał mu drewniany kulas z drewnianą stopą.

Żółta twarzyczka liliputa posępniała, kiedy tak popatrywał z ukrycia na igraszki tych dwojga.

Pewnego wieczoru beznogi handlarz tytoniem pomógł kobiecie załadować majdan z okrągłego stolika na dziecięcy wózek i razem, ciągnąc i popychając pojazd, ruszyli wąwozem wśród zwałów gruzu. Liliput skradał się za nimi w ciemności. Oni zataczali się i potykali. Popili wówczas więcej niż zazwyczaj i handlarz coraz bardziej garnął się do kobiety. Ona odpowiadała na jego natarczywe karesy niskim, piersiowym chichotem i przetaczała biodrami, wypinała piersi, czując na sobie pożądliwe spojrzenie wygłodniałego chłopca. Zatrzymali się dla odpoczynku pod wypalonym szkieletem kamienicy. Fragmenty frontonu jak skalny występ zwisały nad ścieżką. Na gzymsie pierwszego piętra siedział kot i jego oczy błyszcząły jak magiczne światełka. Zaraz czmychnął. Niżej zachowała się płaskorzeźba, przedstawiająca fauna lub satyra z jakąś brodatą gębą leśnego bożka. Beznogi przyciągnął do siebie kobietę. Z początku trochę go odpychała, ale zaraz przywarła do niego. Zadarł jej fartuch i kieckę, gwałtownym ruchem rozerwał majtki i szcepili się jak psy w pokracznej, stojącej pozycji. Chybotali się, obsuwali, ich zapamiętałość w pokonywaniu trudności była zadziwiająca.

Liliput, choć nic nie widział, to wyobrażał sobie białe, grube uda kobiety, słysząc jej przeciągły skowyt rozkoszy. Obejmowała szerokie plecy mężczyzny i jej paznokcie szarpały sukno jego odzienia. Skomliła wysoko i przeciągłe. Liliputowi huczał w uszach ten dźwięk jak dzwon, rozsadzał czaszkę. Chwyć się oburącz za głowę i uciekł. Pędził na oślep, potykając się i padając, kaleczył ręce, otarł sobie do krwi czoło.

W piwnicznej jamie rzucił się na legowisko i zwinęty w kłębek jak psiak, nadal przyciskał palcami uszy. Wciąż słyszał skowyt kobiety. Wypełniał nie tylko jego głowę, ale całą jamę. Wreszcie uspokoił się trochę. Dźwignął się z postania i wygrzebał spod ciemnego miału swój skarb w puszcze. Wyciągnął gruby zwitek banknotów, spięty gumką. Osobno w szmatce trzymał złote monety. Było ich trzydzieści. Przetarł złoto do połysku, ponownie owinął w szmatkę. Potrzęsnał zawiniątkiem, wsłuchiwał się w jego grzechot. Banknoty tak samo przeliczył dokładnie. Oddzielnie okupacyjne, „młynarki”. Oddzielnie zielone, amerykańskie. Zagrzebał puszkę w kącie jamy. Położył się i wdychał raz po raz. Prześladowała go obraz kobiety i mężczyzny, zmagających się pod murem. Wsłuchiwał się w szurcze piski dobiegające zewsząd. Sen miał płytki, niespokojny. Budziły go jakieś jęki, skamlenia. Zrywał się i nadsłuchiwał. Dziwne odgłosy przypomina-

ty kobiecy skowyt rozkoszy, pieśń miłosnego uniesienia. Zapalił ogarek świecy i w jej skąpym świetle dostrzegł dwa szczury, które przebiegły obok niego. Osypał się gruz, zniknęły gdzieś. Czy to one tak skomliły, oddając się szczerzej rozkoszy? Szczur i szczurzyca. Nie mógł już zasnąć. Przewracał się na pościeli. Wstał szarym świtem i wygrzebał z ukrycia puszkę, wcisnął ją za pachę kolorowego kaftanika i wyczołgał się z nory. Dzień zapowiadał się pogodny, poprzez szarość przezierał błękit. Od wschodu nad posępnym, czarnym cementarzyskiem zaczęła się wynurzać czerwona tarcza słońca. Stado gołębi siedziało w szczerbach i załomach muru. Stroszyły pióra, trzepotały skrzydłami. Czy one przetrwały tu cały czas? Czy tak jak ludzie niedawno pojawiły się w mieście?

Gruzowisko niemrawo budziło się do życia. Ludzie wyłazili z zapadlisk, z resztek ocalałych domów, schodzili po kładkach i drabinach ze strychów, które niby bocianie gniazda zachowały się na kikutach okopconych murów. Ziewali, charkotali, przeczesywali skudłone włosy, pełne pierza, słomy i ceglatego prochu. Sposobili się do pracy, upychając wory, kufry, ładując tłumoki na dziecięce wózki i ryksze. Liliput, przyciskając do wklęsłej piersi skarb w puszcze, pierwszy pobiegł na plac. Jeszcze było tu prawie pusto. Dotarł do miejsca, gdzie zazwyczaj handlowała kobieta. Ona już stała przy okrągłym stoliku z egzotycznego palisandru, zastawionym słojami, blaszanymi bańkami i wiklinowymi koszami, pełnymi wiktuałów. Pod stolikiem ustawiła szklane, wielkie butle, wypełnione mętnym, młodym bimbrem. Była pełna wigoru i podśpiewywała wesoło. Liliput wiedział, skąd ona czerpała poranną radość życia. Wdrapał się na wysypisko cegieł, przycupnął jak ptaszek i spoglądał na kobietę. Zobaczył ją znów szczepioną z beznogim handlarzem tytoniu. Jego jeszcze nie było. Pewnie wypoczywał, syty i rozleniwiony, czując w całym ciele wczorajszą przyjemność. Wkrótce kobieta miała już pierwszych klientów i uwijając się jak fryga, nalewała bimber do szklaneczek z grubego zielonkawego szkła, przeliczała należność, pieśczośliwie wygładzała banknoty i chowała do kieszeni wszytej pod spodem fartucha.

Akurat miała dłuższą chwilę wytchnienia, poprawiła włosy, wzięła się pod boki i głęboko zaczerpnęła powietrza, jej piersi podniosły się wysoko i opadły. Wyglądała jak kawał muru tego miasta, solidnie spojonego zaprawą, poszczerbionego co prawda i połupanego, ale mocnego nad wyraz; muru, który przetrwał ostrzał artyleryjski, bomby, wybuchy, pożary, całą zagładę.

Liliput zaczął zsuwać się po zboczu wysypiska. Dążył do niej jak lunatyk. Mały, śmieszny kurdupel na cienkich nóżkach w pasiastych pantalonach; przyciskał do serca puszkę ze skarbem. Był tak mały, że nie spostrzegła go wcale, zagapiona w górę, w błękitne niebo, oświetlone wschodzącym słońcem w całej krasie.

Liliput był już przy niej, szarpnął kobietę za spódnicę i jak kociak wczepił się pazurami w szorstki, mechaty materiał. Opuściła głowę i popatrzyła ze zdumieniem na karła, który przywarł do jej nóg. Wielka głowa pokryta szarym puchem włosów ginęła w jej spódnicy. Zobaczyła jego żółtą, pomarszczoną twarz. Wlepił